Nr. 29. We Lwowie dnia 17. Lipca 1898. Rok 6.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Nasza filantropja.

Grzeszyłby wielką niesprawiedliwością względem epoki obecnej, ktoby przeczył, że w życiu ogółu dobroczynność coraz większą gra rolę i coraz szersze obejmuje kręgi. Z roku na rok zwiększa się suma pracy i kapitału poświęcana przez zamożną i oświeconą część społeczeństwa na usługi biednych i cierpiących, zwiększa się też poczucie obowiązków względem klas wydziedziczonych i przybywa coraz więcej filantropijnych dzieł — przyjmujących najrozmaitsze formy. Najwięcej rozwija się dobroczynność w wielkich miastach, może dla tego, że wśród tych licznych zbiorowisk ludności wytwarzają się rozmaite kategorje cierpień, że i upośledzonych jest więcej i zbytek z nędzą częściej zbliska ze sobą się stykają. Wszystkie prawie stolice europejskie przypisują sobie sławę najdobroczynniejszych miast na świecie, we wszystkich zaś mimo to najbujniej krzewi się upadek i nędza.

Działalność filantropijna stała się ogólnie uznanym obowiązkiem ludzi bogatych. Przez nią zyskują oni sobie cześć i uznanie, przez nią zdobywają wpływ na ogół. Nie można zaprzeczyć, że uznanie takie jest w znacznej mierze zasłużone, że w najczęstszych wypadkach pobudką do ofiar na rzecz klas biednych i cierpiących jest szlachetne dla nich współczucie i rzeczywista dążność do przyjścia im w pomoc. Jeżeli jednak wysokie znaczenie moralne przywiązywane do dzieł miłosierdzia uzasadnionem być może, to bezwarunkowo mylą się ci, co im przypisują bardzo wielkie społeczne i praktyczne znaczenie. Czasami czytając o różnych filantropijnych fundacjach doznaje się wrażenia, jakoby one uważane były za najwybitniejsze dzieła cywilizacji, za szczyt tego, co człowiek dla bliźniego uczynić może i powinien. Tymczasem każde głębsze i trzeźwe rozpatrzenie sprawy, doprowadza do wniosku, że w tej tyle sławionej dziedzinie dobroczynności publicznej zaznacza się więcej niż gdziekolwiek przepaść dzieląca warstwy społeczne — przepaść, której nie wyrównają jałmużny — ani żadne inne miłosierne uczynki.

Tylko pobieżnie wspomnę o niesmacznych — choć w dzisiejszych warunkach może przez względy praktyczne usprawiedliwionych formach, jakie ta dobroczynność częstokroć przybiera. Owa filantropja tańcząca, spiewająca, biesiadująca, owe miłosierne bale, koncerty i festyny, będą prawdopodobnie w oczach następnych, wyżej cywilizowanych, więcej humanitarnie wyrobionych pokoleń — czemś rażącem, czemś, co się z uczuciami moralnemi i estetycznemi zupełnie nie zgadza. Chcąc przyjść w pomoc nędzy, kalectwu, cierpieniu — jednych ludzi, — skłaniamy innych do zbytkownych zabaw i zastawiamy stoły biesiadne, aby głodne rzesze okruchami nakarmić. Nędza pobiera maleńki procencik od zbytku, cierpienie koi się drobnemi odpadkami uciechy. Czyż może być drastyczniejsze, jaskrawsze przeciwstawienie przeciwległych społecznych krańców?

Ci co bliżej stykają się z nędzą, i pracują dla niej bezpośrednio nietylko tańcząc na szpitale, lub sprzedając fanty na domy sierót — ci niewątpliwie doznawać muszą często wrażenia, że wszystko, co się w tym kierunku dzisiaj robi, jest pracą Danaid, wysiłkiem bezowocnym.

Miłosierdzie może co najwyżej dokazać tego, żeby pewnej sumie jednostek w pewnych cierpieniach ulgę przynieść chwilową, nie wpływa jednak bynajmniej na zmniejszenie ogólnej sumy cierpień i im nie zapobiega. Najlepiej zorganizowana akcja zbiorowa nie pomieści wszystkich kalek i chorych w szpitalach, nie da opieki wszystkim sierotom, nie otoczy troskliwością wszystkie dzieci zaniedbane. Gdyby jednak uczynić to mogła, to jeszcze nie zapobiegnie cierpieniom póki nie zmieni warunków, w których nieuchronnie krzewić się muszą nędza, kalectwo, choroba, zaniedbanie i upadek.

To też dziwić się nie można, że dobroczynność publiczna nietylko palących kwestyi socjalnych nie rozwiązuje, — nietylko nie wyrównywa sprzeczności i nie łagodzi wynikającego z nich fermentu, lecz nawet wprost zwiększać musi szeregi niezadowolnionych.

Weźmy dla objaśnienia jeden przykład na czasie n. p. kolonie letnie.

Nikt nie zaprzeczy, iż są one dziełem szlachetnie i rozumnie pojętego miłosierdzia i że ten filantropijny wynalazek ostatnich czasów zaszczyt współczesnym pokoleniom przynosi. Zacne musiało być to serce w którym zrodziła się najpierw myśl wysyłania wątłych małych mieszczuchów na wieś, aby im dać choć raz na rok odetchnąć powietrzem pól i lasów, odrodzić się i pokrzepić w zbliżeniu do natury. A jednak?

Cóż znaczą kolonje wakacyjne mieszczące w sobie setki — lub choćby tysiące dzieci szkolnych, kiedy setki tysięcy maleńkich ich towarzyszy mimo to pozostawać musi w murach miast, krztusić się ich pyłem i dławić ich wyziewami? Nie wiem, czy którakolwiek stolica europejska doszła już do tego ideału, aby wszystkie swoje dzieci uszczęśliwić dobrodziejstwem letniej willegiatury. Gdyby jednak tak było, to jeszcze dla zdrowia tych podrastających pokoleń uczynionoby zbyt mało. Choćby nawet każde miejskie dziecko corocznie dwa miesiące spędzało na letniem mieszkaniu, to jeszcze nie zrównoważy to szkód, jakich jego zdrowie przez pozostałe 10 miesięcy doznawać będzie w ciasnej, często wilgotnej, światła pozbawionej izdebce rodziców.

Przez dwa miesiące będzie się raczyło świeżem mlekiem, będzie oddychało świeżem powietrzem, karmiło się zdrową i pożywną strawą, będzie używało spacerów, gimnastyki, kąpieli — ale potem? Powróci do maleńkiego pokoiku, w którym 8—10, czasem więcej osób sypia razem cisnąc się po kilka na jednem łóżku (jeżeli są łóżka), o kąpieli ani marzyć mu nie będzie wolno, mycie i czesanie pozostawi wiele do życzenia, ubranie bardzo niedostatecznie ochroni je od zimna, żywność nie wystarczy na podtrzymanie sił i nic pozostanie mu nic innego jak usiłować mimo wszelkich przeszkód przeżyć do lata — aby znów w ciągu kilku tygodni zakosztować tego, co na nazwę ludzkiej egzystencji zasługuje.

Te błyski szczęśliwości chwilowej dadzą mu tylko poznać, czem jest życie ludzi zamożnych; pozwolą mu zasmakować w wygodzie, czystości, porządku, rozbudzą upodobania, których w dalszem życiu nigdy nie zaspokoi — i pozostawią mu miłe wspomnienie z lat dziecinnych, które tem dotkliwiej da mu odczuć późniejsze upośledzenie i niedostatek.

To samo co o kolonjach letnich, można powiedzieć i o innych instytucjach dobroczynnych. Opieka, jaką rozciągamy nad nieszczęśliwymi, jest i może być tylko połowiczna, częściowa i przemijająca. Przez całe życie, w normalnych warunkach ciąży na ich barkach twarda prawica bezwzględnego, nieugiętego losu — a tylko wyjątkowo na chwilę pogłaszcze ich miękka, łagodna dłoń współczucia i chrześcijańskiej miłości. Gdy człowiek w ciężkiej pracy w niehygienicznych wykonywanej warunkach starga siły, wówczas zdarzyć się może, że w ostatecznej fazie cierpienia znajdzie przytułek w szpitalu, zazna tkliwej opieki sióstr miłosierdzia, pomoc lekarska utrzyma go przy życiu — i pozwoli mu znowu resztę dni spędzać nad tąż samą krwawą i zabójczą pracą.

Miło jest przynosić ulgę cierpiącym, łzy ocierać, rany ich goić. Spełnianie miłosiernych uczynków uspakaja sumienie, uszlachetnia serce, otwiera wstęp do przyobiecanego niebieskiego królestwa. Ze względu jednak na ziemskie królestwo jest ono rzeczą bardzo niedużej wartości i bynajmniej padołu płaczu w dolinę rajskich rozkoszy nie zmienia.

Na to, aby istotnie sumę cierpień ludzkich stopniowo do nieuchronnego minimum doprowadzać, filantropja niema dostatecznych środków; jest ona w tym razie zupełnie bezsilną. Dla cywilizacyjnego rozwoju ludzkości, dla wcielania w życie humanitarnych idei potrzeba czegoś więcej, trzeba reform społecznych.

Obliczono, że gdyby te wszystkie ofiary, które w ostatnich latach kilkunastu złożono na dotkniętych galicyjskiemi powodziami, użyto jednorazowo na regulację rzek i zabezpieczenie kraju od wylewów, byłaby to po prostu oszczędność, interes korzystny.

Analogiczne zjawiska powtarzają się we wszystkich dziedzinach życia społecznego. Zapobieganie nieszczęściom jest bez porównania korzystniejszem i lepiej do celu prowadzi niż ratowanie nieszczęśliwych. To też wiele większą zasługę w obec ludzkości, niż ludzie poświęcający się dziełom miłosierdzia, będą mieli ci, którzy je z czasem jeśli niezupełnie zbytecznemi uczynią, to przynajmniej do koniecznego minimum zredukować potrafią. Niechaj nam będzie wolno wierzyć, że jak z czasem hygjena weźmie górę nad medycyną i wiele szersze od tej ostatniej będzie miała zastosowanie, tak też racjonalne reformy społeczne filantropją na dalszy plan i na podrzędne usuną stanowisko. Nie uwolnią one ludzkości od pewnej sumy nieuchronnych normalnych cierpień, ale zmniejszą ilość nieszczęść wprost z anormalnych dzisiejszych stosunków wynikłych. Nie znikną takie przyczyny cierpienia jak śmierć i choroba, lecz zmniejszy się ilość przedwczesnych śmierci i chorób nie przypadkowych, lecz przez szkodliwe warunki życia wywołanych. Bardzo wiele zresztą takich nieszczęść, które my dziś jeszcze przypisujemy fatalizmowi, lub nazywamy dopuszczeniem Bożem, z czasem przy rozwoju nauk i coraz szerszem zastosowaniu wynalazków przestanie nam zagrażać. Wszakże dziś już rozum ludzki skutecznie walczy z tak groźnem nie-

gdyś morowem powietrzem, które całe miasta, wioski, całe okolice nawet i kraje wyludniało, wszakże znalazły się sposoby chroniące siedziby ludzkie od piorunów, — nie potrzeba więc być optymistą, aby przypuszczać, że kiedyś w przyszłości tak częste dziś katastrofy kolejowe, kopalniane i inne podobne — świadczyć będą nie tyle o gniewie Bożym, ile o ludzkiem niedołęstwie. I dziś już może bylibyśmy dalej zaawansowani na tem polu, gdyby ta zdumiewająca twórczość umysłu ludzkiego, która się wysila na wydoskonalenie karabinów i armat, na fabrykowanie bezdymnego prochu i t. p. mordercze wynalazki — zwróciła się wyłącznie do tych zadań, które zachowanie i udoskonalenie życia ludzkiego mają na celu.

Nie znaczy to bynajmniej, aby filantropja obecnie już zbyteczną być mogła, aby była tylko niepotrzebnem trwonieniem energji i ofiarności.

Pracując dla przyszłości — trzeba się jednak zawsze liczyć z teraźniejszością i uwzględniać istniejące warunki, choćby się jak najdokładniej ich wadliwość widziało. Wobec tego nawet i bale, rauty, festyny dobroczynne, na razie na pobłażliwość zasługują.

Nie zaniedbując jednak doraźnej, chwilowej pomocy dla nieszczęśliwych, dobrze jest pamiętać o tem, jak ona jest niewystarczającą, a łagodząc skutki nieszczęść ludzkich badać wytrwale ich przyczyny i pracować nad ich usuwaniem. Że świadomość tej prawdy bardzo mało jest rozpowszechnioną, dowodzi fakt, iż podczas gdy dobroczyńcy, filantropi — zażywają czci ogólnej — odważni krytycy istniejących urządzeń — jako burzyciele porządku prześladowanie na siebie ściągają. Przyszłość jednak osądzi kiedyś sprawiedliwie, którzy z nich większe usługi ludzkości oddają.

I. Moszczeńska.

Lili.

ŻAŁOSNA IDYLLA

przez

Władysława St. Reymonta.

(Ciąg dalszy).

— Bardzo zimno! — odezwała się Szalkowska odwiązując woalkę.

— Tak, chciałem właśnie powiedzieć, że jest bardzo zimno — szepnął śpiesznie Szalkowski, zacierając ręce, i odbierając od żony woalkę, boa z szarych brudnych piór i ceratowy, płaski kapelusz, ułożył to wszystko bardzo starannie na łóżku.

— Czy to jest najświeższa wiadomość z ulicy? — szepnął ironicznie Kos.

Szalkowska odwróciła się od niego pogardliwie i w małem lusterku zaczęła wycierać twarz, poprawiać włosy i delikatnie obmacywała mocno wypukłe, silnie ukarminowane usta.

— Todziu! pudru zapomniałam! — odezwała się do męża.

— Rzeczywiście, zapomniałem ci go włożyć do kieszeni, ale zaraz przyniosę, za chwilę, i w wielkim pośpiechu wybiegł, już na ulicy kładąc palto i czapkę. Tymczasem Szalkowska, bez ceremonji, upudrowała twarz pudrem Korczewskiej i siadła przy Lili, która z jakimś dziecinnym podziwem przypatrywała się jej wspaniałej, doskonale rozwiniętej postaci i pięknej, chociaż już mocno podniszczonej twarzy.

— Todzio wraca! Dobrze panią obsługuje, mruknął Kos.

Szalkowska roześmiała się sucho, głos miała nieprzyjemny, trochę gardłowy i jakby przepity.

— Mam puder, przepraszam cię! — wołał mąż, z trudem łapiąc powietrze, tak się zdyszał, choć mieszkali tylko o dwa domy. Pocałował żonę w rękę, odciągnął Zakrzewskiego do drzwi i coś mu tam gorączkowo opowiadał, pilnując równocześnie oczami, czy żona czego nie potrzebuje.

— Właściwie na co czekamy? Pić mi się chce, Todziu, przynieś mi wody sodowej.

— Zaraz Hela, za chwilę będzie! i znowu wybiegł pośpiesznie.

— Przyjdzie mój mąż, to postanowimy co o spektaklu. Raz... dwa... trzy...

— Ale ja nie mam czasu, mnie się spać chce!

Przeciągnęła się leniwie, ziewnęła parę razy, oparła głowę o ścianę i przymglonym, a natarczywym wzrokiem wpatrzyła się w Zakrzewskiego, który pisał coś ołówkiem na mankiecie i podsuwał go pod oczy Lili, tak zajętej odczytywaniem, że nie widziała prawie wejścia Korczewskiego z drugim jakimś aktorem.

Korczewski mruknął niezrozumiałe przywitanie i zaczął odkręcać wielki szal z szyi, potem długo zacierał ręce, jeszcze dłużej wyciągał z kieszeni różne prowianty i rozkładał je na kominie za firanką, zkąd się wreszcie ukazał z niewielkim garnuszkiem w ręku, z którego jadł powoli, chodził po pokoju i mówił.

— Jesteśmy mniej więcej wszyscy, możemy więc już radzić.

Pochylił swoją wyniosłą, chudą postać i powlókł po zebranych czarnym, przymglonym nieco, ale dobrym wzrokiem. Twarz miał świeżo wygoloną, sinawą od mrozu, a na twarzy sterczał wielki, bardzo cienki i długi nos.

— Nietyle radzić, ile grać nam potrzeba; bo, niech mnie drzwi ścisną, ale już ani cebuli ani w co wkrajać — szepnął poważnie Kos, nie puszczając plecami pieca ani na chwilę.

— Ja również jestem już »ausgespilt!« Wyrzucili mnie z mieszkania, garderoba przepadła, ruchomości przepadły, bibljoteka nawet przepadła — ozwał się patetycznym głosem, aktor przybyły z Korczewskim, zrobił szeroki gest ręką po gardle, okręcił się szczelniej w starą, aksamitną almawiwę, podniósł do góry niebieskie oczy i wychudzoną, mizerną twarz i zadumał się ponuro.

— Nie fajnuj Feluś, tutaj frajerów nie ma! Kiedyżeś to miał garderobę, meble, ruchomości jakie, bibliotekę, co? Łżesz, aż widno! — mówił wolno Korczewski, z powagą, wyjadając z garnczka i spacerując po pokoju. Pies chodził za nim nieodstępnie i co chwila z innej strony zaglądał mu w oczy i cichem warczeniem lub delikatnem chwytaniem za nogi, przypominał, że i jemu się jeść chce.

Feluś nic nie odrzekł, tylko co chwila trzaskał w palce i pociągał się za koniec nosa.

— Może mi pan pożyczy papierosa? — mruknął ponuro, wyciągając rękę do Zakrzewskiego, który natychmiast podał mu swoją papierośnicę.

— Zakrzewski, chodźno pan, na chwileczkę — szepnął Kos, odciągając go pod komin.

— Spojrzyj no pan na Szalkowską! Co? zdrów numer? Wiesz pan, ona dzisiaj była u hrabiego! Patrz no pan; jakie ma aksamity i jedwabie.

— No tak, ale to kwestja jej męża; a przytem, gdyby odemnie zależało, to jednej chwili nie byłaby w towarzystwie.

— Frajer z pana, ona sama potrafi robić kasę.

— Więc po cóż pan na nią wygadujesz?

— Bo małpa jest i tyle, głupich pięciu rubli nie chciała mi pożyczyć; nie masz pan co drobnych — zakończył, drapiąc się w ucho.

— Mogłeś pan od tego samego zacząć! Dam panu, jak będziemy wychodzili — szepnął dosyć niechętnie, pozostawił go przy drzwiach i chciał powrócić do Lili, ale wpół drogi złapał go za klapę Feluś i znowu odciągnął do drzwi i zaczął cichym, a ponurym głosem mówić.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Szkice i obrazy z nad morza Żółtego.

(Ciąg dalszy.)

Niektórzy z dawniejszych podróżników francuskich i angielskich po Chinach lubują się w ujawnianiu tylko ujemnych stron chińczyków, jak gdyby chcieli przez to usprawiedliwić politykę niektórych mocarstw europejskich względem nich. Wystawiają oni przedewszystkiem w świetle niekorzystnem stosunek chińczyków do ludów podbitych lub hołdowniczych, a zwłaszcza do tatarów i mongołów, nieuczciwość ich w handlu i nareszcie brak ambicji i patrjotyzmu w spełnianiu obowiązków obywatelskich.

Zarzuty to są ciężkie i zaprzeczyć się nie da, w wielu razach prawdziwe. Nigdy ich wszakże uogólniać nie należy, a jeśli zastosuje się je do pewnych grup społeczeństwa lub jednostek, to się okaże, że analogiczne grupy i jednostki w Europie lub gdzieindziej śmiało i zwycięsko rywalizować mogą równie na tej arenie właściwości ujemnych. Często też sąd w takich razach zależnym być musi od sądu o sumie właściwości społecznych, o równoważnych lub przemijających zaletach, wreszcie od punktu wyjścia w zapatrywaniach na stosunki życia publicznego i na epokę, w jakiej się takowe rozwinęły.

Piętnasty dzień ósmego księżyca jest świętem nader uroczystem w całych Chinach i znanem pod nazwą Jue-Peng (chleb księżyca). Początki onego sięgają zamierzchłej starożytności i wysnuły się z kultu księżyca. W dniu święta tego, radośnym dla każdego, wszelkie roboty ustają; robotnicy otrzymują gratyfikacje od swoich chlebodawców, każdy przywdziewa szaty świąteczne wśród radości, uczt i festynów i krewni i przyjaciele posyłają sobie wzajemnie ciasta z symbolem księżyca, t. j. gaiku z przycupniętym zającem.

Począwszy od wieku XVI. uroczystość ta przybrała charakter polityczny, wskutek wypadku, którego pamięć żywo tkwi w umyśle każdego chińczyka do tego stopnia, że pochło-

nęła prawie tradycję pierwotną kultu księżycowego. Około roku 1663 chińczycy postanowili zrzucić władztwo dynastji mongolskiej, założonej przez Czengis-Chana, która rządziła państwem od stu lat. Wielkie sprzysiężenie objęło wszystkie prowincje i miało się zakończyć w jednym dniu na wszystkich jednocześnie punktach rzezią żołnierzy mongolskich, którzy stali załogą w domach chińskich dla tem łatwiejszego utrzymania podboju. Hasło dano sobie wzajem za pośrednictwem kartek, ukrytych w ciastach księżycowych, posyłanych sobie nawzajem według zwyczaju w dniu owego święta, Jue-Peng. Jakoż — rzeź się rozpoczęła na całym olbrzymim obszarze Chin i była tak skutecznie przeprowadzoną, że armja mongolska została do szczętu wycięta. Katastrofa ta położyła kres panowaniu mongołów, i dziś święto Jue-Peng nie tyle jest uroczystością księżyca, ile obchodem narodowym, którego znaczenie polityczne pamiętne jest dla każdego chińczyka.

Nie tak wszakże rzecz się ma z mongołami. Obchodzą oni również to święto nader uroczyście i wesoło, a ciesząc się i radując, czynią to za przykładem chińczyków, nie podejrzywając wcale — ile w tej radości tkwi tradycji kwawej na ich niekorzyść; do tyla pamięć wypadku wygluzowaną została z ich umysłu. Wyjątkowe tylko osobistości z ich ludu mają świadomosć tradycji. Wogóle lud ten potargał więzy z przeszłością własną. W pieśniach tylko wędrownych ich piewców odżywa niekiedy pamięć o przodkach, zdobywcach świata i to pamięć mglista, niejasna, powleczona barwą marzeń poetyckich, dalekich od łączności z życiem teraźniejszem. Osiadli na bezbrzeżnych stepach, pokrywających całe północne kresy Chin, są oni i dziś jeszcze dość licznym ludem napędzającym kłopotów, a niekiedy strachów dworowi pekińskiemu. Kiedy przed laty sześćdziesięciu jeden z najwyższych kapłanów budaizmu mongolskiego — Wielki Lama z Wielkiego Kureniu zapowiedział swą wizytę cesarzowi Tao-Kuanowi w Pekinie, strach do tyla zawładnął całym dworem pekińskim, że wysłano do Kureniu mandarynów dla pertraktacji z Lamani, aby wielki kapłan zaniechał swego zamiaru. Zabiegi ta wszakże okazały się płonnemi, Wielki Lama puścił się w podróż i w miarę tego jak posuwał się przez stepy ku prowincji Chan-Fi, tysiączne tłumy jeźdźców mongolskich, przebywając ku niemu z czołobitnością i witając jako zastępcę bóstwa, przyłączali się do jego orszaku, który w końcu rosnąc o kilka tysięcy mężów dziennie, toczył się jak lawina ku granicy Chin. Rząd chiński, przejęty obawą, pod pozorem, że trudno byłoby wyżywić taką hordę w jednem miejscu, udał się w prośbę pokorną do Lamy (popartą oczywiście wielkiemi ofiarami), aby jej nie puszczał po za mur chiński i wziął z sobą do Pekinu nie więcej nad tysiąc ludzi orszaku.

Innym znów razem, gdy cesarz Chang-Hi, czyniąc wyprawę przeciw jednej z hord zachodnich przejeżdżał przez Miasto Błękitne i odwiedził tam Wielkiego Lamę, ten ostatni przyjął władzcę cesarstwa nie podnosząc się wcale z wysokości swego tronu i nie okazując mu najmniejszych względów poważania. Kian-Kiun najstarszy mandaryn wojskowy, towarzyszący cesarzowi, oburzony tem lekceważeniem, wydobył szablę i rozpłatał nią łeb dumnego arcykapłana. Trzydzieści tysięcy Lamów obecnych w mieście podniosło okrzyk zgrozy i zemsty, który z szybkością szerzyć się począł wśród ludności miejscowej i okolic. Rozpoczęła się rzeź chińczyków, i cesarz, przybrany w suknie zwykłego śmiertelnika, zaledwo zdołał się ratować ucieczką, zapłaciwszy głową Kian-Kiuna za śmierć Lamy.

Są to jednak wybuchy chwilowe grozy i szału, możliwe dotąd tylko przy udziale duchowieństwa i przy zadraśnięciu uczuć religijnych mongołów. Po za tem żyje on w zgodzie z chińczykiem, a raczej bywa jego sługą uniżonym. Rząd chiński, jeśli się umiejętnie bierze do rzeczy, może na rozkazy swoje w krótkim stosunkowo czasie zmobilizować pół miljona najwybitniejszych jeźdźców mongolskich i zalać nimi z łatwością terytorjum sąsiedniego mocarstwa.

Mongołowie i tatarzy, żyją na kresach Chin, rządzeni są przez własnych chanów i królów. Ci ostatni są hołdownikami Cesarza, który dla rozstrzygania sporów między nimi wysyła swoich mandarynów, a ci z rozkazu cesarskiego sięgają niekiedy po uszy i łby Ich królewskich Mości.

Cięższem wszakże od takiego zwierzchnictwa jest władztwo ekonomiczne i obyczajowe nad mongołami i tatarami ludności chińskiej, która wciskając się pomiędzy ludność tnrańską, zabiegliwością i przebiegłością swoją, zawładnąwszy nią, eksploatuje też dowolnie. Dzieje się to z udziałem właściwości społecznych chińczyka, jego wyższego wykształcenia, pracowitości, oszczędności i sprytu, wobec pewnej ociężałości ducha mongołów, małego ich uzdolnienia kulturnego, przy nawyknieniach koczowniczych i nieporadności. Gdzie tylko w jakiej okolicy Mongolji pojawi się kilku, kilkunastu chińczyków, tam w krótkim stosunkowo czasie mienie mongołów przechodzi w ich ręce, a oni sami niszczeją i ubożeją. Mongoł z natury swej jest dobroduszny, łatwowierny, wierzący w cnotę ludzką i polegający często na poczciwych popędach duszy ludzkiej. Jeśli przy swojej nieporadności spotyka się z człowiekiem wyższej kultury, choćby uczciwym lecz przemyślnym, nie może wytrzymać spółzawodnictwa, a gdy natrafi

na oszusta, jest zgubionym: nie zdoła mu się obronić.

Przeważnie żyjąc na stepach i oddając się gospodarstwu nabiałowemu i pastewnemu, mongołowie nawet przy skromnych swoich potrzebach — nie są w stanie pokryć ich w zupełności własną produkcją i uciekać się muszą do handlu, w którym szukają zbytu własnych produktów, a kupna obcych, potrzebnych im do życia. Że zaś handel koncentruje się najczęściej w miastach i zostaje przeważnie w ręku chińskim, mongoł oddaje się na ich łaskę i niełaskę. Trzeba widzieć — jak przybywszy do miasta mongoł jest zaraz w pierwszej chwili oblężony przez całą zgraję faktorów, ajentów, kupczyków, którzy komplimentami, nadskakiwaniem, usłużnością, ofiarowaniem się z rzekomo bezinteresownemi usługami tak go olśnią i otumanią, że zamknąwszy mu wszystkie drogi wolnej konkurencji, zawładają nim całkowicie, zniewalając go do spieniężania jego towaru za bezcen, a sprzedając mu swój lichy za cenę wygórowaną.

Zwykle tego rodzaju magnetyzowanie mongoła przez chińczyków rozpoczyna się od tego, że go biorą do alkowy, znajdującej się przy sklepie handlowym i tam go ugaszczają obiadem bezpłatnym.

— Widać, że to są bracia nasi, a h a t u, poczciwi ludziska — powiada sobie mongoł, - bo gdyby chcieli mnie okraść, nie dawaliby mi tak pysznego obiadu darmo, nie porobiliby takich wydatków dla mnie.

Chińczycy tymczasem raz dostawszy takiego pacjenta w ręce, już go nie wypuszczają, częstując obficie wódką i trzymając przez kilka dni z rzędu w swym domu, dając mu palić fajkę i ofiarując tysiące drobnych usług, a przedewszystkiem nie spuszczając go ani na chwilę z oka. Przez ten czas komitenci sklepowi zajmują się przeprowadzeniem jego interesu handlowego: sprzedają jego owce, konie lub wielbłądy i kupują mu te wszystkie artykuły, jakich zapotrzebuje. Olśniony mongoł wraca do siebie pełen zachwytu dla wspaniałomyślności K i t a j ó w, przyrzekając im znów we właściwym czasie powrócić dla nowych operacji.

Mongoł daje się eksploatować nietylko przy kupnie i sprzedaży towaru, ale przedtem jeszcze na zmianie monety. W Chinach kursuje drobna moneta miedziana wielkości dwóch dawnych groszy polskich. Każda taka sztuka ma dziurkę po środku dla nawlekania na sznurek. Chińczycy nazywają tę monetę c i e n, mongołowie d e h o s, a europejczycy s a p e k. Złoto obiega w handlu w piasku i listkach lub sztabach; tę ostatnią formę ma też srebro. Jeden i drugi kruszec mienia się zwykle u wekslarzy wprost na sapeki albo na banknoty, reprezentujące odpowiednią wartość sapeków. Uncja srebra przedaje się zwykle za 1700—1800 sapeków, stosownie do kursu. Wekslarze oszukują albo na wadze srebra, albo na kursie jego I w jednym i w drugim razie mongoł źle wychodzi na przebiegłości przeciwnika.

(Dokończenie nastąpi.)

Jan Grzego.

ZAJĄC.

POWIEŚĆ

przez

Adolfa Dygasińskiego.

Piękne są latem Morzelany!

Wielki staw czworoboczny, nad nim dwór biały duży, wyziera z poza gąszczu drzew i krzewów, jak pałac zaczarowany. A naprost dworu, po przeciwnej stronie stawu, kapliczka biała z dwiema wieżami, z dzwonnicą, białe domki, krzyż żelazny na białej podstawie i w koło topole nadwiślańskie. To wszystko przegląda się w wodach stawu i w pogodną noc księżycową widać czarodziejską podwójną krainę, wysłaną gwiazdami. Za dnia to wszystko odbija na żywo zielonem tle drzew, krzewów, łąk rozległych. Topole włoskie nadobnie się tu splatają z licznym orszakiem brzóz płaczących, które za powiewem wiatru z pod wiotkich szat ukazują białe ciała, jak tancerki w pląsach namiętnych, i znowu się osłaniają i szumią. Gdzieindziej posępne świerki drzemią spokojnie, kołysane do snu szumem nieustannym srebrnych liści osiki. Wiązy, jesiony, klony pną się na wyścig wierzchołkami ku słońcu, o lepsze iść usiłują z topolą nadwiślańską, która taką wspaniałą koroną się wieńczy i rozrostem swoim wieki olbrzymiości zda się przypominać. Dwie siostry, lipa i wierzba, wyciągają ku sobie konary, jakby ręce do uścisku, a szmerem liści gwarzą. Poniżej tego rosłego pokolenia na podołku jego zasiadły bzy, jarzębina, kalina, głogi, berberysy, akacje.

Widok ztąd przestronny po góry mogilańskie, które płotem stanęły wpoprzek na widnokręgu, i w złocie, w purpurze stoją o zachodzie słońca. Oko i tak ma gdzie bujać po zielonem morzu łąk, usianem gaikami, kępami olszyn, wikliny. Rzecz prosta, bocianów, czajek nie brak tutaj.

Nie prawdaż, jest gdzie żyć i używać na tym szerokim świecie? Swobodę ma taki, którego nie krępują żadne granice, miedze. To niwy, to łąki, to lasy, błonia, ogrody, sady: cały świat stoi otworem. Byleby się tylko miało nogi dobre,

wszędy dotrzeć można i wszędy znaleźć sposób do życia. Cóż to za pszenice, jakie żyta, jęczmienia, grochy, rzepaki, koniczyny, kapusty, rzepy, sałaty, pietruszki, grzyby, jagody! Są słodycze i kwaski, goryczki, aromaty, olejki. Więc jest co na ząb położyć rano, w południe i na wieczór. Pod każdym względem przewyborne miejsce pobytu ma się w Morzelanach. Na upały — cienisto zadrzewione ustronia, okolice strumienia, albo jeziora, dokąd od wody taki miły chłód powiewa, W przykre dni zimne — stoki wzgórz, zwrócone ku słońcu a za wiatrem. I pod kamieniem i pod miedzą można zbudować kotlinę wygodną. No, a oprócz tego, ma się do wyboru: liściaste namioty po krzakach, garści potężnego zboża, kopki i stogi, ba w razie nagłej potrzeby zimną lisią jamę nawet.

Morzelany, wieś w dobrej glebie, wygląda jak misa pełna dań przerozmaitych, do której zasiadają i ludzie, i czworonogi, i ptaki, i inne jeszcze niższe zwierzęta.

Ileż stworzeń używa życia na tej płaszczyznie, nakrytej błękitnem sklepieniem niebios. oświetlonej w dzień przez słońce, w nocy przez pochodnie gwiazd i księżyca, milczące świadki życiowych przygód zwierząt, zmuszonych w tej tylko porze załatwiać sprawy głodu i miłości! Noc nie ma pisanych dziejów, gdyż ci, którzy piszą, śpią albo piszą w nocy. Zając przesypia dzień gwarny, z boku na bok się przewraca, a bardzo twardo śpi niekiedy, zabić go można. Zapewne miewa i marzenia senne, owe sny, nigdy niezisz-czone na jawie. Kto wie, czy przez sen nie żyje za pan brat z lisem, wilkiem, człowiekiem? Może z ogarami wyprawia sobie w kniei poufałe turnieje; do wyżłów, chartów chodzi w odwiedziny i serdecznie ściska się z nimi za łapy na powitanie. Czemużby sobie nie mógł pozwolić jeszcze słodszego marzenia, że naprzykład zapalczywie ściga zmykającego wilka, że strzelca do łez wzrusza?... Och, te marzenia i ich rozczarowania! Zając we śnie, jak orzeł, buja po powietrzu; jastrzębie przed nim pierzchają w popłochu, wrony i sroki go podziwiają. Na szczyty drzew pomyka w zawody z wiewiórką i figę lisowi pokazuje. Tymczasem nieubłagana rzeczywistość panuje także podczas marzeń sennych. Nie trzeba spać zbyt twardo, ani się zatapiać w marzeniach, będąc zającem. Ludzie łażą po polach, psy również, a nie braknie też bydła — rogatych, nierogatych, które choć same nie są niebezpieczne, każą jednak przypuszczać w bliskości obecność człowieka. Więc ostrożnie kic, kic o jakie pięćset kroków dalej, rozważnie badać stan rzeczy i albo po zajęczemu w nogi, albo cichutko przycupnąć. O lato, ty poro szczęścia: ciepła, jasności, dostatku pokarmów, a przytem zakazu polowania! Małym truchcikiem, tyłami odwrócony, pomyka wtedy zając przed jakim ekonomem, polowym, czy zgrają pastuchów, żeńców. Przystają, robią wrzawę, to nic nie szkodzi: dobre prawo opiekuńcze nad nim czuwa.

Nasz szarak, gach z płci, marczak z urodzenia, siedm zim przeżył w Morzelanach, doszedł do szczytu doskonałości zajęczej i już się na gracza wykierował, dokonał dzielnych czynów, kiedy nań o ósmem polu życia niedołęstwo starości przyszło. On tutaj poznał każdą brózdę, każdy zagon; wiedział, zkąd i dokąd prowadzą wielkie gościńce główne, i małemi ścieżkami nauczył się je w potrzebie omijać. Gdy był w sile wieku swego, bynajmniej nie należał do rzędu tych zajęcy, które w niebezpieczeństwie wyłącznie nogom się powierzają: on sobie przypinał skrzydła strachu z zastanowieniem, uciekał, przystając nasłuchując — kotłował. Strach ma logikę swoją, rodzaj przytomności umysłu — świadomość, która tylko w razie konieczności daje potężny rozpęd nogom. Toć życie jest walką i przegrana znaczy tyle, co stracić życie raz na zawsze i nie mieć potem już nigdy możności tryumfu przez ucieczkę. Przez odwrót niejeden sławy się dobił. Każdy powinien przed czemś uciekać, gdyż tym orężem można także z nóg zwalić wroga: ucieczka i pogoń jest to pojedynek na nogi. Ten przegrywa, kto pierwszy nogi sobie zerwie, wyczerpie cenne żywotne siły. Ale po co uciekać, gdy się nie wie, w którą stronę? Stosunki życiowe wytwarza i wikła przyroda; jednakże prawo pozostaje prawem: zyskiem siły jest strata na czasie. Odetchnij, jeśli masz czas po temu! Niejeden myśliciel ludzki wygłaszał zasadę: „Bądź mądrym tchórzem!“ Strach wystarcza, aby o tem wiedzieć: żaden tchórz nie ma czasu ma mądrość, ma tylko duże oczy, które wszystko widzą i uszy niezrównane. Czasem dla tchórzów korzystny jest sojusz z tchórzami: kilka par oczu i liczne uszy stanowią wyższy stopień czujnej naokoło baczności. Strzeliłeś do kuropatw, a tu się zając wyrywa, i odwrotnie. Wielka wojna, gra idzie i to jest powszechne, nieśmiertelne, jak ciał ciążenie. Ci muszą wygrywać, owi muszą tracić. Każdy się jednak wysila, aby zgrał współgracza, zabrał mu jego własność i w tym musie słabszy ma także widoki powodzenia: ucieczka jest to czyhanie na życie tego, który ściga i z głodu ginie, jeśli mu zdobycz ujdzie. Widocznie nie ma tu miejsca dla litości, uczucia dopiero w świecie ludzkim puszczającego kiełki razem z obłudą. Rzadki, bardzo rzadki wypadek, aby niezdara i głupiec doczekał się w życiu sędziwości, to jest, ażeby nie przegrał życia w tych zapasach o życie. Po ludzku rzeczy biorąc, szczęście jednak dużo znaczy, nawet — kiedy o losy społeczeństw chodzi.

Czatowali nań, podchodzili go, szczuli, ścigali, zastawiali zasadzki. Sadzono się na to, aby z niego wytrząść duszę i zjeść ciało. Nie miał ani jednego sprzymierzeńca, gdyż należał do gatunku zwierząt, nie znających wartości sojuszów i tem samem miłości bliźniego. Każdy zając musi sam jeden ze wszystkimi swymi wrogami wal-

czyć, musi swoim własnym orężem odeprzeć nieprzyjaciół licznych, zawziętych, chytrych i srogich. Zginąłby, gdyby był słaby, niezdarny. On tymczasem żyje i ciągle mięsożernym dostarcza pokarmu, rozmnaża pokolenia swego gatunku.

Że nasz zając wyszedł na gracza, zawdzięczał to sobie i swemu szczęściu; miał bowiem od dzieciństwa za sprzymierzeńca los ślepy, ów przypadek, dzięki któremu nieraz i z pod stryczka uchodzi się cało. Rozum wszelki następuje dopiero po szczęściu: ten rozum, co to korzysta ze wskazówek doświadczenia. Bez szczęścia bardzo łatwo zginąć z rozumem i nie zdobyć przechwalanego doświadczenia. Żadnej a żadnej sprawiedliwości na korzyść rozumu tu nie ma. Zkąd się bierze takie szczęście i czy ono jedno nie podlega prawom, które zarządzają światem? Ono siedzi sobie po za płotem dziwnej plątaniny związku przyczynowego, niedostrzegalne ani przez rozum zajęczy, ani... niczyj. Ludzie nie umieją o tem nic więcej powiedzieć, tylko: „Szczególny zbieg okoliczności!“ Dawniejszemi czasy przypisywali to gwiazdom.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Nowe książki.

Kazimierz Gliński: »Wróci«. — Powieść. — Warszawa 1898.

W dawne czasy, bo trzydzieści lat wstecz, powiódł nas p. Gliński w swej powieści. Rodzina Sośnickich po stracie majątku w strasznej katastrofie narodowej, ocaliwszy tylko mały, niewystarczający na życie kapitalik, została wyrzuconą wśród innych im podobnych rozbitków na bruk małego miasteczka Szarogrodu. Stary p. Mateusz zbyt sterany wiekiem i życiem, by mógł pracować na byt. Podporą całej rodziny, światłem rozjaśniającem ciężkie jej chwile jest córka, panna Jadwiga, bo młodszy syn, Aleksander, „trzeźwy organicznik“, wychowaniec nowej epoki, na pozór ideolog utylitarnej pracy, w gruncie zimny egoista i karjerowicz, dobiwszy szczęśliwie do portu w postaci przestarzałej p. Rabskiej i jej trzechkroćstotysięcznego majątku, znać nie chce rodziców. Jadwiga ciężko pracuje, dając lekcje, niosąc wśród maluczkich światło, podnosząc ich serca i umysły. Podtrzymuje ją w tej walce o byt i jej zawodach i przykrościach miłość dla narzeczonego, przebywającego w dali od niej, wśród śnieżnych i posępnych rozłogów Syberji i nadzieja jego powrotu. Tęskni za nim i wyczekuje go, ale czas i oddalenie zasnuwają go mgłą przed nią. Serce jej, znękane trudnymi warunkami życia, wyczerpane długą i trawiącą tęsknotą, zwraca się po ciepło serdecznych uczuć w stronę bliższą, ku rozumnemu i szlachetnemu Pawłowi Rzutkiewiczowi, który, chociaż gorąco do niej przywiązany, milczy, ukrywając swe uczucia, powodowany szlachetnymi skrupułami. Jadwiga walczy przeciw nowej miłości, ale naprożno. Pojedynek Pawła, który ujął się za zniewagę jej wyrządzoną, brak wiadomości od narzeczonego, Gustawa, wreszcie cicha zgoda rodziców, upatrujących w pobraniu się młodych ludzi spokój dla swych starych lat — zadziergają silniejszy węzeł między nimi. Już pragnienia Pawła prawie mają się ziścić, gdy wtem przybywa list od Gustawa, przynoszący zapowiedź rychłego powrotu. Przybędzie w wigilję Świąt Bożego Narodzenia, chybaby go śmierć przedtem zabrała. Przytłoczone wspomnienia wstają z popiołów, dawne wielkie i gorące uczucie wybucha znowu życiem w sercu Jadwigi. Paweł złamany usuwa się, unosząc cicho swój ból w sercu. Nadchodzi dzień wigilji. Wśród gorączkowego oczekiwania nikt nie przybywa — jeno naraz przewiewa jakiś chłód mroźny, jakby niosąc przeczucie śmierci. Płomienie świec zadrgały, jakieś tajemnicze kroki przeszły, odezwało się czyjeś ciche westchnienie. Jadwiga dostaje obłąkania, szepcąc, jakby w jakiemś widzeniu, słowa z „Anhellego“. Na tem kończy się powieść.

Oprócz powyższych głównych osób, poznaje czytelnik jeszcze parę innych postaci Szarogrodu. Jest tu Łaminowski, pieczeniarz, równie jak Sośniccy, wyrzucony na bruk, ale radzący sobie doskonale cudzym kosztem, jest Marynia Kamencka, małomiasteczkowa panna, koniecznie poszukująca męża i jej siostra Helena, *hic mulier*, feministka, z gorącemi acz wątpliwemi aspiracjami do malarstwa, brzydka, komiczna, ale z dobrem sercem, jest wreszcie poczciwy szewc Dudkowski i syn jego, Anderek, jakby żywcem wyjęty bohater z ballady jakiegoś *minorum gentium* poety z doby romantycznej — płomieniście rozkochany w Jadwidze, który po jej obłąkaniu bardzo poetycznie rzuca się w nurty rzeki.

Przywykliśmy, chociażby po takich „Emancypantkach“ Prusa, do lepszych opisów sfery małych miasteczek i ich ludzi, to też całe to życie małomiasteczkowe robi wrażenie bezbarwne i mdłe, pojedyncze figury jakby nożykiem w drewnie dłubane; główna zaś postać, sama Jadwiga, którą autor chciał wynieść na taki wysoki piedestał wyższości umysłowej, ten »czar i niebo«, jak ją nazywał Anderek, wydaje się czasem tylko sentymentalną panienką, a zwłaszcza, gdy tak po pensjonarsku mówi o „swem sercu, które cierpi, kocha i czeka“...

Powieść p. Glińskiego nie sięga wyniosłych wyżyn artyzmu — ale, zdaje mi się, i nie ma ku temu żadnej pretensji. Jest sobie tak poczciwie i bezpretensjonalnie pisana, stylem dość naiwnym, ze sporą dozą sentymentalnego romantyzmu w kreśleniu pojedyńczych postaci i wypadków. Przypominamy sobie te cechy także w poprzednich powieściach p. Glińskiego — tylko w tej występują one może silniej spotęgowane. Czytelnik nie przejmie się tu niczem, bo nawet przy na pozór tak silnej scenie obłąkania Jadwigi, pozostanie obojętnym, lecz źródło wzruszenia pewnego znajdzie gdzieindziej: — w samym autorze, w tem, że dziś mógł on w ten sposób, z taką prostotą pisać. Jego naiwny romantyzm, który całą powieść przesiąka, jest taki otwarty, taki szczery i nie podejrzywający niczego złego, że samą swą bezbronnością ściera z ust złośliwy uśmiech.

T. Sob.

Czcionkami »Drukarni Polskiej« we Lwowie. (Pasaż Hausmana).